

Nieutulona zgoda Leszka Mądzika

Teatr, rzeźba, fotografia Leszka Mądzika to zjawisko cenne i niezwykle w skali światowej. Artysta, wykorzystując awangardowe środki, staje poza głównym nurtem współczesnej sztuki, której hasłem jest bunt

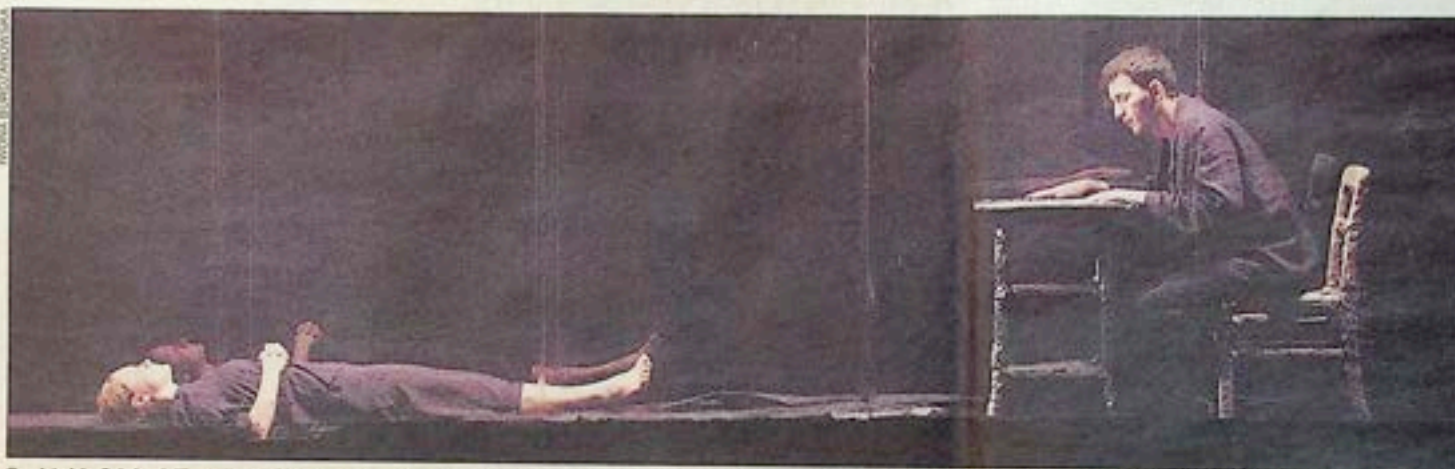
TADEUSZ SOBOLEWSKI

40-lecie pracy artystycznej twórcy Teatru Obrazu, założyciela Sceny Plastycznej KUL, dało pretekst dla małego festiwalu jego sztuki w Warszawie. W oranżerii pałacu wilanowskiego na przełomie marca i kwietnia odbyło się kilka spektakli zainspirowanych książką „Matka odchodzi” Tadeusza Różewicza. W Akademii Teatralnej otwarto wystawę zdjęć Leszka Mądzika robionych na wszystkich kontynentach, wszędzie tam, gdzie dociera ze swoim teatrem.

Trzecim warszawskim wydarzeniem była instalacja zaprezentowana w Muzeum Teatralnym w Teatrze Wielkim w ramach wystawy „Noc Walpurgii” - wizja faustowskiego sabatu, czarnej korytarz, do którego wchodzi się przez smoliste, obrotowe drzwi - jakby negatyw pasażu handlowego, z kuszącymi zza połyskliwych tafli nagłymi ciałami czarownic z gipsu. Mądzik pokazał tutaj, że umie stosować formy agresywne. Ale jego teatr jest przeciwieństwem tego sabatu.

„W dzieciństwie mieszkalem na uliczce blisko szpitala, kostrnicy i cmentarza - opowiada. - Pogrzeby były prawie codziennie i przez okna sączyły się takie widoki: karawan, wolno czające konie, procesja żałobników. Szyły konduktu w deszczu i w pełnym słońcu, rano, w południe i o zmierzchu. Czasem grała orkiestra, czasem tylko wiatr. Wychowałem się i bawilem wśród tego pejzażu”.

Przypomniałem sobie tę wypowiedź, oglądając spektakl „Odchodzi”. Jest to teatr czerni, milczenia, monumentalnej wizji wylaniającej się z mroku i zagarniającej widza dzięki grze świateł i muzyki. Określa się go czasem jako „teatr śmierci”, lecz nie łączy go z teatrem śmierci Tadeusza Kantora. W pamiętnej „Umarłej klasie” czy „Wielopole, Wielopole” zbuntowany korowód zmarłych-manekinów wdierał się na scenę, maszerował w stronę widzów, powtarzając w nieskończoność jeden gest, jedną frazę, wydartą rzeczywistości. W spektaklu „Odchodzi” panuje spokój. Widz znajduje się jakby poza życiem. W tym wyścigu poza doczesność pomaga muzyka Marka Kuczyńskiego i śpiew Urszuli Dudziak. Jestem na widowni sam ze sobą, pogrążony



Spektakl „Odchodzi” według Różewicza to teatr czerni, milczenia, monumentalnej wizji wylaniającej się z mroku i zagarniającej widza dzięki grze świateł i muzyki

Zawsze chciałem być starszy - mówi Mądzik. - Patrzyłem na ludzi i wyobrażałem sobie, jacy będą za parę lat. Chcę w moim spektaklu złapać moment przejścia - pejzaż czasu, który zbliża nas do śmierci

w kompletnej ciemności, nie dostrzegam nawet sąsiadów. Widzę obrzydliwie rozwijające się w przestrzeni niewymiarowej. Nie wiem, czy to, co oglądam, znajduje się daleko, czy blisko. Są to obrzydliwie wewnętrzne.

Ten jedyny w swoim rodzaju teatr wprowadza widza w rodzaj transu przypominającego stary sprzed zaśnięcia, z pogranicza jawy i snu, czy z medytacji. W medytacjach wszelkich obrzędów taki trans określa się czasem jako „ćwiczenie w umieraniu” - wyseisenie funkcji życiowych, wygaszenie „ja”. Nie chodzi w nich jednak o umieranie, tylko o życie. I taki sens ma teatr Mądzika, który udosławia to, co symboliczne. Tworzy wrażenie, jakbyśmy zagłębiali za kulisy życia. Lub inaczej - jakbyśmy patrzyli na życie z drugiej strony, zza kulisy. Prof. Stefan Sawicki z KUL uważa, że niezwykłość tego teatru polega na przyjęciu ponadludzkiej perspektywy. Człowiek jest tu na dalszym planie. Widz zostaje wrzucony w ciemność jak w kosmos i z tej perspektywy odkrywa przegadłość, przemijalność ludzkiego życia. W tym odkryciu jest jednak coś po-

cieszającego: nie należymy tylko do siebie, jest coś poza nami.

Gdyby ktoś z zewnątrz obserwował widzów warszawskiego spektaklu, jak wchodzi do zaciemnionej oranżerii niby do krypty i czekając na przedstawienie, przechadzają się wśród dziwnych relikwiarzy, gipsowych masek pośmiertnych i odlewów ciał - pomyślałby, że jest to delektowanie się makabrą. Kiedy jednak znalazłem się w środku, w przestrzeni zaaranżowanej przez Mądzika, czułem coś innego. Ciemność, której nie rozpraszały punktowe reflektorki, nie przerażała. Zapraszała. Wydawała się przyjazna, bezpieczna. Otaczające mnie gipsowe formy zdawały się naznaczone jakimś pelgającym życiem. Może kiedyś tak patrzono na kościelne relikwiarze ze szczątkami świętych? Nie chroniono ich przed oczami dzieci, bo miały one nie tyle straszyć makabrą śmierci, co ukazywać jej przezwyciężenie: nie wyglądają się liczy, ale znak, istota rzeczy.

„Nasza współczesność jest epoką wyglądu. Nie lubimy wyglądu szpetnych pomarszczonych skóry, skrzywionej sylwetki. Prawdziwa starość w wyglądach oznacza brzydotę. Najbrzydsza zaś ze wszystkiego jest śmierć” - pisał Wojciech Chudy, rówieśnik Mądzika, zmarły w ubiegłym roku lubelski filozof, na stałe przykuty do wózka. „Zawsze chciałem być starszy - mówi Mądzik. - Patrzyłem na ludzi i wyobrażałem sobie, jacy będą za parę lat. Chcę w moim spektaklu złapać moment przejścia - pejzaż czasu, który zbliża nas do śmierci. Widzę ten pejzaż nawet w mo-

mentach najradośniejszych”. Tajemnicą spektakli Mądzika jest to, że ten pejzaż wciąga, że chcemy w niego wejść. Znajęca teatr Mądzika Majn Komorowska w rozmowie po spektaklu mówi z naskikiem: „A ja się cieszę, że mam 70 lat”.

Zaczął się od tego, że Tadeusz Różewicz podarował Mądzikowi książkę „Matka odchodzi” z żartobliwą dedykacją: „...bez nadziei na przeczytanie”. Mądzik opowiada, że gdy tylko otworzył tę książkę, zaczął widzieć obrazy. Inspirujące było już pierwsze zdanie: „Teraz, kiedy piszę te słowa, oczy matki spoczywają na mnie”. I dalej: „Oczy matki wszystko widzące patrzają na urodziny patrzą przez całe życie i patrzą po śmierci z »tamtego świata«”. W innym miejscu Różewicz dodaje: „z tamtej strony, w którą ja nie wierzę”. Ale wiara ma tu niewiele do rzeczy. Uchodzący za agnostyka stary poeta mógł spotkać się w tym spektaklu z reżyserem uprawiającym teatr określany jako chrześcijański. Ich spotkanie było czymś naturalnym - tu wiara jest nie tyle wiara, co miłość. Elementarne ludzkie doświadczenie zwane w Kościele świętych obcowaniem. Poczucie, że nasi bliscy zmarli są i na nas patrzą.

Nie jeden z tych, co stracili matkę, przeżywa spotkanie z nią na jawie: rozpoznaje matkę w innej, podobnej kobiecie, która idzie ulicą. Dozrywamy w tym momencie czegoś w rodzaju teatralnej iluzji. Ciekawe, że do każdego z przedstawień „Odchodzi” Leszek Mądzik zapraszał pewną kobietę z domu starców. Ukazywała się widzom w pierwszych

minutach spektaklu, po czym była odwołana do domu. Była matką. Ta kobieta już nie występuje, reżyser odwiedza ją czasem w zakładzie. Ona już go nie rozpoznaje, ale jemu wydaje się, że wciąż gra matkę. Jest nią.

O teatrze Mądzika mówi się szumnie: ezoteryczny, mistyczny, transcendentny. Czy jednak jego formy wywodzą się z teologicznej spekulacji, czy raczej z potocznego doświadczenia? To właśnie potoczność i uniwersalność sprawia, że lubelski artysta, nie mając za sobą wielkiej promocyjnej maszyny, nieustannie objężdża świat, prowadzi warsztaty w nowojorskim La MaMa Theatre, w afrykańskiej Gwinei, w Gracji, Iranie, Ameryce Łacińskiej.

Dzisiaj na porządku dziennym jest bunt. Nawet reklama posługuje się hasłami buntu, protestu, transgresji, rewolucji. Mądzik, wykorzystując awangardowe środki, staje poza głównym nurtem współczesności. Proponuje innego rodzaju wylom: teatr zgody na śmierć, na rzeczy ostateczne. Do tej sztuki pasuje kapitalne określenie z późnej twórczości Mirona Białoszewskiego, poety oswajającego ostateczność: „nieutulona zgoda” - jak „nieutulony żal”. W naszym życiu jest więcej zgody, niż się wydaje. Jak to jest, że znosimy w spokoju bombardujące nas obrzydliwie nieszczęśliwe? Myśl o śmierci? Ciężko jest własne i cudze? Istnieje widocznie jakaś tajemna zмова, potoczna wiedza, która pozwala uchylić dylemat Hamleta: „być albo nie być” - i jednak być, z jakąś nieokreśloną nadzieją. ●